

Dzieci dzieciom i dorosłym (z małą pomocą przyjaciół)

Miłość nie boli, kolano boli, reż. Artur Romański, Teatr Animacji w Poznaniu

JULIUSZ TYSZKA Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany, Teatrológ.



Fot. Joanna Czarnota-Mielczarek

W różnych dziwnych momentach życia przychodzi do nas natchnienie. Malina Prześluga szła sobie po prostu ulicą, gdy usłyszała śpiewającą coś dziewczynkę. To coś okazało się piosenką „własnej roboty”, o! tak naprdęce ułożoną, którą dziewczynka dzieliła się ze światem, w tym zwłaszcza (zapewne) z towarzyszącymi jej dorosłymi. Dorosli jak to dorosli – jednym uchem piosenczkę wpuścili, drugim wypuścili, bo kto by tam się przejmował dziecięcymi pieniami – nie do rymu, nie do taktu, nie do sensu. Ale Malina Prześluga jest dorosłą osobą wyjątkową – taką, którą dzieci wciąż inspirują, dając jej impulsy do rozlicznych

natchnień.

No i tym razem, też z nagle, jak grom z jasnego nieba, natchnienie spłynęło – Prześludze zamarzył się spektakl muzyczny, profesjonalnie wyreżyserowany, skomponowany, zaaranżowany, a złożony z piosenek, do których teksty zostały ułożone przez dzieci. I nastąpił cud, albowiem słowo stało się dość szybko scenicznym ciałem: w ciągu kilku następnych miesięcy zebrane zostały teksty autorstwa dzieci od lat dwóch do sześciu – jedne nadesłane na konkurs, inne przyniesione przez związanych z teatrem rodziców – do roboty zabrał się kompozytor Piotr Klimek, a potem przystąpiono w Teatrze Animacji do prób pod kierunkiem Artura Romańskiego. Całe przedsięwzięcie było wynikiem niezależnej inicjatywy zespołu, a dyrektor Marek Waszkiel obejrzał spektakl dopiero po jego uroczystej premierze, która odbyła się, a jakże, w Dzień Dziecka. Obejrzał i zaakceptował – *Miłość nie boli, kolano boli* (taki ostatecznie nadano temu spektaklowi tytuł) będzie od listopada w repertuarze poznańskiego teatru lalek.

Malina Prześluga zarzeka się, że nie zmieniła w dziecięcych tekstach nic – że są wyspiewywane na scenie dokładnie wedle tego, co „nawyspiewywały” sobie same dzieci – bez usunięcia, przekreślenia czy przestawienia jednego nawet słowa. Cóż, nie ma żadnego istotnego powodu, by jej nie wierzyć.

Warto natomiast pochylić się nad sceniczną realizacją napisanych przez dzieci oraz Piotra Klimka piosenek. Bo same teksty... Hm, są niewątpliwie świeże, tzn. swym lekkim lingwistycznym bezładem i wtrąconą tu i ówdzie celną metaforą kontrastującą z profesjonalną produkcją tekściarską w języku polskim, lecz daleki byłbym od popadania w typową dla dorosłych przesadę i wychwalania pod niebiosa „młodych samorodnych geniuszy”, którzy z „zadziwiająco przenikliwością” odkrywają ukryte dla nas za dorosłą rutyną życia Odwieczne Prawdy, których jeszcze (już?) nie znamy i na które czekamy. Owszem, z pewnym zdziwieniem, a nawet wzruszeniem odkryłem, że młode autorki i młodzi autorzy też zwalczają w swym życiu bałagan, że też lubią kochać samych siebie, że tęsknią za współ-byciem, współ-strachem, współ-nadzieją... Czyli że są normalnymi ludźmi, tyle że mniej doświadczonymi przez życie, patrzącymi na nie z kompletnie innej perspektywy, ujmującymi świat znacznie mniejszym zasobem pojęć, nierozumiejącymi jeszcze wielu kwestii, ale pełnymi dobrej woli, gotowymi na ich zrozumienie.

Ba, tylko jak to wszystko pokazać w profesjonalnym teatrze, nie popadając w śmieszność, w infantylizm, w paternalizm, w kicz? Otóż, twórcom poznańskiego spektaklu to ambitne założenie udało się doskonale zrealizować. Zagrało wszystko – śpioszkowe kombinezony w roli kostiumów, łózkowo-poduszkowa uboga scenografia, doskonale skomponowana, zaaranżowana i na żywo grana muzyka – daleka od infantylności, pastiszowa, celnie puentująca mocne punkty tekstów. A nade wszystko świetne, wyrafinowane, nieprzerysowane aktorstwo i cały szereg trafionych pomysłów inscenizacyjnych, serwowanych dyskretnie i nienachalnie coraz bardziej zachwyconym widzom. Stało się bowiem tak, że na te „arcyłudzkie” dziecięce teksty dorosli twórcy spektaklu nałożyli cały szereg własnych, niebanalnych, z wycuciem zastosowanych pomysłów o charakterze, generalnie rzecz ujmując, parodystyczno-pastiszowym. Dziecięce słowa zostały tu więc ujęte w ironiczny nawias dorosłej wyobraźni. Potraktowano je z szacunkiem, który jednak naznaczony jest lekkim przymrużeniem oka. W ten sposób językowe nieporadności tekstów zostały zgrabnie wkomponowane w lekko prześmiewczą tonację całości, a nad widowskimi unosił się nastrój wzajemnego dorosło-dziecięcego zrozumienia w duchu obopólnej akceptacji wszelkich zalet i wad obu stron tudzież przyzwolenia na drobne grzeszki, niezborności, wyglupy i sceniczną szarżę.

Aktorki i aktorzy weszli w ten nastrój jak w przysłowiowe masło. Kiedy na początku Aleksandra Leszczyńska, ubrana w żółtawy piżamo-kombinezon, brnąc przez rozsypane na scenie poduszki, zaczepia nas, donośnie wykrzykując: „Cześć manaty!”, wiemy już z pewnością, że nawet jeśli z tego bałaganu nic nie rozumiemy, i tak będzie fajnie. A gdy zaczyna grać muzyka (klawisze, perkusja, gitara, akordeon), robi się już całkiem lekko na duszy. Jesteśmy gotowi.

Z wyrwanego i zasługującego na najwyższe pochwały zespołu wykonawców wyróżniłbym Julianę Dorosz i Elżbietę Węgrzyn. Gdy ta pierwsza wchodzi na scenę i zwierza się, z lekka naiwnie, z lekka przymilnie, że lubi kochać siebie, dorosli na widowni (jak podejrzewam, niezależnie od płci) są po prostu zelektryzowani. Dziecinno-dorosły erotyzm rozlewa się po sceno-widowni, przypominając trochę podobne nastroje wywołane pojawieniem się niektórych scenicznych wcielań Meli i Hesi z *Moralności pani Dulskiej* czy (to może trafniejsze odniesienie) bohaterki *W małym dworku* Witkacego, Zosi i Amelki. Dorosz ubrana jest w tej scenie nie w przypisany jej liliowy kombinezon we wzorki, tylko w nocną koszulkę. Im infantylniej śpiewa, tym głębiej i perfidniej erotyzm się w widzowskich *bodies-minds* zakorzenia. Aktorka potrafi przy tym trzymać się konsekwentnie swego „niewinnego” wcielenia, nie robi oka do dorosłych widzów, nie szarżuje, porwana elektryzującym nastrojem widowni – tak trzymać!

Kolejnym, tym razem lirycznym wcieleniem Julianny Dorosz jest postać śpiewająca piosenkę tytułową – *Miłość nie boli, kolano boli*. Tu z kolei aktorka daje pokaz swych możliwości w intymnym, a zarazem trochę podniosłym rodzaju kontaktu z widzami, wyciskając niejedną łezkę z oczu dzieci i dorosłych. Dodajmy, że wspomaga ją tu bogata aranżacja oraz śpiewająca od pewnego momentu razem z nią aktorka Teatru Muzycznego Anna Lasota. Piosenka tytułowa jest najbogatszym muzycznie prezentem, jakim jesteśmy w tym spektaklu obdarowani.

Z kolei Elżbieta Węgrzyn, wokalistka doświadczona w niejednej scenicznej czy koncertowej próbie charakteru, brawurowo wykonuje hardrockową piosenkę o rysopisie, idealnie wchodząc w pastisz estradowych gestów i zachowań rozmaitych gwiazd, gwiazdeczek, gwiazdunek i gwiazdułek. Nasz gromki śmiech wyrażał uznanie dla aktorsko-reżyserskiego pastiszu, a brawa nagradzały rzetelny profesjonalizm, bez jakiegokolwiek próby minięcia tej śmiesznej postaci i wejścia w wygodny, przyjemny „prywatny” kontakt z widownią. A zrobiło się już tak fajnie i przytulnie, że aż się prosiło o odrobinę luzu. A tu nic – odrzucenie nastroju widowni, żelazna konsekwencja w realizowaniu swojej partytury zachowań, absolutny profesjonalizm niemal do samego końca.

Niemal, bo w pewnym momencie, tuż przed zakończeniem spektaklu, dzieciom ponownie oddano część inicjatywy – aktorki i aktorzy zaczęli się z nimi rzucać poduszkami. Wszystko było fajnie, bo kilkanaścioro dzieci siedziało bardzo blisko, na dużych poduchach pod samą sceną, natomiast mniejsze poduszki były od początku rozłożone tuż obok, na scenicznych deskach. No i aktorzy sami między sobą się czasem nimi rzucali w ramach scenicznej akcji. Poza tym chyba rzeczywiście warto było podjąć próbę otwartego włączenia dzieci w jakąś fizyczną wymianę emocji.

Wszystko było fajnie, aż się prześmiewało – po jakimś czasie dzieci stały się namolne i agresywne, niektóre dążyły wręcz do tego, by dorosłym aktorom i aktorkom zrobić poduszką jakąś krzywdę. Do zabawy wkradła się agresja i zawziętość. Aktorzy usilowali, nieco bezradnie, wyjść poza postać i już jako oni – aktorka X czy aktor Y zmytygować rozbuchane emocje młodych widzów – teraz już niefortunnym współsprawców scenicznej akcji. Bez skutku. Trzeba było dłuższej akcji pacyfikacyjnej (przynajmy: łagodnej i pozbawionej przemocy), by dzieci wróciły (nie wszystkie i nie do końca) do grzecznej wersji ról widzów.

Wielokrotnie obserwowałem na widowniach polskich teatrów lalkowych, dramatycznych i operowych podobne sceny – dzieci, gdy oddawano im choćby krztynę inicjatywy, prześcigały się w naruszaniu granic dozwolonych im umownie zachowań i atakowały dorosłych, usiłując podważyć ich autorytet, bo najwyraźniej to sprawiało im największą frajdę w tej granicznej sytuacji wyjścia ze spektaklu w zabawę, w zawieszenie norm, w karnawałowy rozgardiasz i niepewność ról.

Porównywałem te zachowania, regularnie powtarzające się od Opola po Suwałki i od Przemysła po Szczecin, jeżdżąc w latach 80. po Polsce z Nieinstytucjonalnym Zawodowym Teatrem „Wierzbak”.

Dodam, że od roku 1988 do 1991 często wyjeżdżałem z tą grupą na zagraniczne tournée – do Belgii Francji i Szwajcarii oraz RFN, nie obserwując podobnych zachowań i tamtejszych dzieci, które znakomicie wyczuwały, kiedy mogą się bawić wspólnie z aktorami, a kiedy powinny przestać i powrócić do norm i granic wyznaczających ich rolę widza.

Powie ktoś: „Ale to były polskie lata 80., lata opresji, podważania i lekceważenia narzuconych nam odgórnie autorytetów”. No dobrze, wtedy rzeczywiście sam miałem takie ciągotki, czasem nawet z sukcesem realizowane, niekiedy nie w widowniach teatrów. Ale jak mam interpretować dzisiejsze zachowania dzieci – rozbrzykanych, tak łatwo porzucających hamulce kulturowych norm? Czy mam winę za te zachowania zważyć na dzisiejszą, przesyconą agresywnymi konfliktami sytuację „ogólnopolityczną” w naszym kraju? A może jednak lepiej było pogrzebać głębiej w naszej historii, dokopując się do kompletnie dziś zapomnianych świadectw z epoki sarmatyzmu, z nieśmiertelnym (niestety) *Opisem obyczajów* księdza Kitowicza na czele?

Takie oto niewesołe refleksje naszły mnie pod sam koniec tego świetnego spektaklu. Warto, by jego realizatorzy ostrożniej podeszli do tych końcowych aktów scenicznej integracji z dziećmi i młodzieżą. Czkawka, jaka może powstać (i nierazko powstanie) po tych usiłowaniach, może być długotrwała, bolesna i spowodować wielkie trudności w „lyknięciu” tej całej sytuacji.

29-06-2016

Teatr Animacji w Poznaniu
Miłość nie boli, kolano boli (czyli dzieci piszą, dorosli grają)
teksty piosenek: Nina Bizukojć, Karina Bukowska, Julia Fijałkowska, Kika Kalicka, Antonina Kocurek, Aleksandra Kowalewska, Zuzanna Krawczyk, Zuzanna Morawska, Maurycy Olejnik, Leon Romański, Stanisław Wojciechowski
reżyseria: Artur Romański
muzyka: Piotr Klimek
dramaturgia: Malina Prześluga
współpraca scenograficzna: Dobrawa Deczkowska (Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu)
obsada: Magdalena Dehr, Juliana Dorosz, Marcel Górnicki, Igor Fijałkowski, Aleksandra Leszczyńska, Elżbieta Węgrzyn
muzycy: Piotr Klimek, Bartłomiej Orłowski, Mateusz Czarnowski, Tomasz Nawrot Nawrocki
premiery: 1.06.2016

TAGI: [Malina Prześluga](#), [Artur Romański](#), [Poznań](#), [Teatr Animacji](#).



SKOMENTUJ

Autor [lub zaloguj się](#)

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

dwa plus trzy jako liczbę:



KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

Teatr Animacji

PRZECZYTAJ TEŻ

Juliusz Tyszka
Dobry, ale ciężki „melodramat w sosie psychoanalitycznym”

Piotr Dobrowolski
Omęt

Piotr Dobrowolski
Kto wolałby nie żyć

Juliusz Tyszka
„Ciemność! Widzę ciemność!”

Piotr Dobrowolski
Tańcz, poki możesz

Juliusz Tyszka
Dwie godziny miedlenia

KALENDARIUM

26 IV 2024
Łódzkie Spotkania Baletowe XXVII edycja

BĄDŃ NA BIEŻĄCO

